



Ślubny garnitur

Alfred, zmęczony całodzienną pracą, wracał wieczorem do wynajętego niedawno pokoju. Ledwo powłóczył nogami, idąc na piętro słabo oświetlonymi schodami, skrzypiącymi w takt jego ciężkich kroków. Każdy stopień wydawał się ciągnąć stopy do ziemi. Wyjątkowo dużo dzisiaj się uchodził, ba, a nawet biegał. Ekspedycja kolejowa, w której pracuje, ma dużo przesyłek wagonowych i drobnicowych, więc musi wielu klientów awizować o przybyłych przesyłkach. Odbiorcy są nie tylko na terenie miasta, ale i w pobliskich wioskach, gdzie w większości trzeba udawać się piechotą. Różne są to przesyłki. Jedne całowagonowe dla fabryk, z rozmaitymi odlewami, częściami do maszyn, deskami, surowcami do produkcji, inne dla wielu odbiorców prywatnych, budów państwowych i indywidualnych. Nieraz trzeba udać się na wioskę piechotą pięć do siedmiu kilometrów, aby powiadomić gospodarza, że ma wa-

gon żwiru czy cementu, ale to się opłacało. Często coś kapnie do kieszeni, albo się dostanie w naturze w postaci sera, masła, jajek, względnie owoców. Przy odrobinie szczęścia nawet kielbasę, kaszanke lub salceson. Gdyby miał rower, to by się tak nie męczył, ale na ekspedycji rowery mają tylko starzy kolejarze, a on, młody, musi chodzić piechotą. Przecież jest to dopiero trzy lata po wojnie, a zarobki na kolei marne.

– Nie było to jak przed wojną – rozmarzył się. – Kolejarz to był pan, dobrze zarabiał, natomiast teraz to jest dziad. Wujek będąc wtedy maszynistą, to dom sobie wystawił i wprowadził się do gotowego w lipcu, a we wrześniu wybuchła wojna. Żeby nie ta przekłeta druga wojna światowa, to bym teraz dobrze zarabiał i może miałbym już jakieś stanowisko na kolei, chociażby kasjera biletowego – rozmarzył się Alfred.

Zaraz po przejściu frontu pracował tylko za kawałek chleba, ponieważ nie było czym płacić. Teraz oszczędza pieniądze na ważniejsze rzeczy niż rower, bo ma zamiar się żenić.

Zatopiony w rozmyślaniach wyszedł na piętro i kluczem otworzył drzwi. W przedpokoju czekała na niego wynajmująca mu pokój właścicielka mieszkania.

– Jest list do pana – powiedziała łagodnie, podając kopertę.

– Oo! Dziękuję! – krzyknął uradowany i niemal wyrwał go z ręki kobiety. Zaskoczona taką reakcją gospodyni, najpierw przestraszyła się jego zachowaniem, lecz po chwili, zrobiwszy uśmiechniętą pobłażliwie minę, weszła do swego mieszkania. Alfred w jednym momencie zapomniał o zmęczeniu, bo myślał tylko o jednym, aby już czytać list. Wpadł do swojego pokoju, drżącymi rękoma rozebrał kopertę i zaczął czytać:

Kochany Alfredzie!

W pierwszych słowach mojego listu pozdrawiam Cię serdecznie i życzę zdrowia, jakom i ja zdrowa. U nas wszystko po staremu. Chcę Ci donieść, że data naszego ślubu się nie zmieniła, to jest w pierwsze święto Wielkanocy. O nic się nie martw, bo my wszystko załatwiliśmy, to jest jedzenie i picie na wesele, obrączki, suknię ślubną i inne rzeczy. Ty tylko kup sobie czarny garnitur, białą koszulę, czarne lakierki i biały lub jasny krawat. My byśmy to Tobie

kupili, ale u nas w miasteczku tego nie ma, a po drugie nie znamy Twoich wymiarów. Jeśli nie masz pieniędzy, to sobie pożycz, a my Ci damy, jak przyjedziesz na ślub, to potem oddasz. W mieście, gdzie pracujesz, powinno wszystko być, nie tak, jak u nas. Najlepiej będzie, gdy przyjedziesz wcześniej niż Twoi rodzice, to jest w czwartek albo jeszcze wcześniej, to będziemy razem i pomożesz przygotować coś do wesela. Na tym kończę mój list, pozdrawiam Cię serdecznie oraz mocno całuję, pa, pa, pa. Twoja Wandzia, która czeka na list od Ciebie.

Przeczytał pospiesznie pismo, ucałował papier i jeszcze raz przeczytał. Ładny charakter pisma ma ta Wandzia – rozmyślał Alfred – jak pięknie pisze. Właściwie nie ma się czemu dziwić. Do wybuchu tej strasznej wojny miała skończone dwie klasy handlowki, a w zeszłym roku ukończyła ją i ma maturę. Tam ją uczono pisać listy, do tego kaligraficznie. Ja mam zaledwie sześć klas skończonych i nie mogłem się dalej uczyć, bo była bieda, więc musiałem pracować całą okupację hitlerowską z rodzicami na małym gospodarstwie. Miałem szczęście, że mnie Niemcy nie wywieźli na roboty, bo tata był wtedy chory i sołtys załatwił, że jestem potrzebny na roli. Teraz to mi już jest lepiej, gdy od zakończenia wojny pracuję na kolei, zaś młodszy brat gospodarzy z ojcem.

Alfred odłożył list i wtedy poczuł głód. Rozmyślając o treści pisma, przygotowywał na kuchence elektrycznej kolację. Najpierw ugotował wodę na herbatę, następnie zrobił jajecznicę z dwóch jajek na boczku, tak jak to robiła mama w domu, i jedząc, myślał nadal o treści listu. Z jednej strony cieszył się, zaś z drugiej był zmartwiony, bo nie miał garnituru, lakierka ani żadnego krawatu. Pieniądzy też niewiele. Zaledwie przełknął ostatni kawałek chleba i pospiesznie łyknął herbatę, obtarł ręce w ręcznik i sięgnął do szafy po okrągłą puszkę z przedwojennych landrynek. Wysypał z niej na kraciasty koc przykrywający łóżko większą ilość banknotów poskładanych i pozwijanych w ruloniki. Rozwijał je i rozkładał, a potem układał według wartości nominalów. Najpierw pięćsetki, później setki, pięćdziesiątki i dwudziestki. Drobniejszych pieniędzy nie zbierał do puszki, tylko je wymieniał na grubsze, często zaokrąglając w górę, aby szybciej i więcej ich było. Liczył pieniądze

skrupulatnie, dwukrotnie, a następnie wszystkie razem położył na kupkę. Był pewny, że z oszczędności najwyżej kupi nowy garnitur, zaś na resztę pieniędzy nie starczy. Przerazała go myśl o weselu, do tego za niecałe trzy tygodnie. Rozwagał, od kogo by tu pożyczyć pieniędzy, ale nic nie wymyślił. W tym momencie usłyszał delikatne stukanie do drzwi.

– Proszę! – powiedział, wstając z łóżka. Pospiesznie chciał poprawić jego powierzchnię, rozsypując przy tym kupkę pieniędzy.

Do pokoju weszła gospodyni, niosąc na talerzyku dwa kawałki ucieranej babki, żółtego koloru, zachodzącego w pomarańcz, od jajak będących w cieście.

– Panie Alfredzie, jeśli się pan nie pogniewa, to poczęstuję ciastem, które mi pozostało od niedzieli – rzekła wchodząca i postawiła talerzyk na stole.

– Ależ proszę pani, za dobroć się gniewać? – zdziwił się mężczyzna. – Pani jest tak dla mnie zbyt łaskawa, przynosząc mi często ciasto.

– Nie jest to znowu tak często – rzekła skromnie kobieta. – Ma zostać, to niech ktoś zje, żeby się nie zmarnowało. Jest to przecież dar boży.

Mówiąc to, zwróciła uwagę na leżące pieniądze.

– Liczył pan zarobione pieniądze?

– Nie, to są moje oszczędności.

– To ładnie, że pan oszczędza. Co chce pan za to kupić? – zainteresowała się.

– Właściwie to wiele, ale mam za mało pieniędzy – powiedział smutno.

– Za kilka miesięcy będzie więcej, to pan sobie kupi, co będzie chciał – pocieszała.

– Za kilka miesięcy – powtórzył smętnie – to będzie za późno.

– Dlaczego za późno? – zdziwiła się. – Czy jest coś intratnego na oku?

– Nie, tylko wkrótce się żenię, a nie stać mnie na wszystko, czego potrzebuję – powiedział przyciszonym i rzewnym głosem.

– Co potrzeba? – nalegała gospodyni.

– Czarny garnitur, białą koszulę, czarne lakierki i biały lub jasny krawat – wyrecytował za słowami listu od ukochanej.

– Rzeczywiście – zmartwiła się kobieta. – Ale! Ale! – krzyknęła podniecona. – Może coś wykombinujemy.

– Co? – zaciekawił się.

– Proszę tu zaczekać na chwilę. Jak wrócę, to się pan dowie.

Kobieta szybko wyszła, pozostawiając zdumionego Alfreda. Po dziesięciu minutach wróciła, przynosząc naręcze garderoby i czarne lakierki.

– Nie chcę pana obrazić, ale jeśli by to odpowiadało i pasowało, to tanio sprzedam – mówiła pośpiesznie. Niech pan się nie boi, to jest ślubny garnitur mojego nieboszczyka męża, w którym oprócz ślubu był ze mną z trzy razy w lokalu na dancingu i chyba raz na Sylwestra – mówiąc to, ocierała zewnętrzną stronę dłoni łyż w oczach. – Wie pan, żeśmy ze sobą żyli tylko trzy lata i zginął na wojnie w trzydziestym dziewiątym roku, a teraz jestem sama z córeczką – mówiąc, rozkładała garderobę na łóżku. Buty postawiła obok nogi łóżka.

– Tu jest biała koszula, kupiona przed samą wojną, i był w niej najwyżej cztery razy. Krawatu odpowiedniego nie mam, ale białą muszkę. Wie pan, jak on w niej elegancko wyglądał? Tak samo lakierki kupiłam wiosną trzydziestego dziewiątego roku i miał je ubrane tylko jeden raz, bo były za ciasne.

Alfred stał zaskoczony i oszołomiony, ale po chwili przyszedł do siebie i zdecydował:

– Jeśli będzie coś na mnie pasowało, to kupuję! – pośpiesznie wyrecytował podnieconym głosem.

– Ja wychodzę, niech pan się przebiera i dopasowuje.

Kobieta wyszła, a mężczyzna zaczął przymierzać garderobę. Najpierw założył koszulę i przeglądał się w długim lustrze umieszczonym w wewnętrznych drzwiach szafy. Trochę za długie rękawy – pomyślał – ale reszta leży dobrze. Następnie ubrał się w garnitur i stwierdził, że dobrze przylega do ciała, jakby szyty na niego. Nawet buty pasowały. Był szczęśliwy, bo jakby z nieba spadło mu ślubne ubranie. Przeglądając się, usłyszał ciche pukanie do drzwi i słowa:

– Panie Alfredzie, czy już można?
– Ależ proszę, proszę – zachęcał do wejścia.
– Ładnie panu pasuje i leży jak ulał.
– Tylko rękawy koszuli są trochę za długie – sprostował mężczyzna.

– Nic nie szkodzi, załóż pan gumki na rękawy, nad łokcie, i koszula będzie dobra.

– Jeśli wszystko jest dobrane, to kupuję, ale za jaką cenę?
– Za pół ceny nowego, a może i jeszcze mniej.
– Ależ ja nie wiem, ile to kosztuje.
– To się pan dowie i uzgodnimy. Może mi pan nie płacić od razu w całości, bo pieniądze mogą być potrzebne do wesela.
– Jaka pani dobra – wzruszył się Alfred.
– Trzeba sobie pomagać w tych ciężkich czasach. Proszę zostać już u siebie to ubranie.

– Jeszcze raz serdecznie dziękuję.

– Proszę nie dziękować, bo i tak bym je sprzedała.

Kobieta chwilę lustrowała Alfreda. Podobał się jej. Myślami przeniosła się do chwili własnego ślubu, kiedy w tym garniturze ujrzała swojego męża. W oczach stanęły łzy. Po chwili ocknęła się.

– Ale zrobiło się późno, muszę już iść, bo pan na pewno zmęczony, a ponadto idę sprawdzić, czy Ania położyła się spać. Dobranoc.

– Dobranoc.

Alfred został sam. Nie mógł uwierzyć, że w tak krótkim czasie został ubrany do ślubu. Uszczęśliwiony przygotował się do zasłużonego odpoczynku. Wyciągnięty wygodnie w łóżku, zaczął głośno myśleć o gospodynie. Mamrotał: – Jaka ona dobra i jeszcze młoda. Jest ładna. Na pewno niewiele starsza ode mnie. A może w moim wieku? Gdybym nie znał Wandzi, to może ożeniłbym się z nią. Oczywiście gdyby mnie chciała. – Tak rozmyślając, zaraz zasnął.

Czas ślubu zbliżał się z dnia na dzień. W środę wieczorem, ostatniego tygodnia przed weselem, Alfred spakował walizkę i udał się na stację kolejową, aby pociągiem o osiemnastej dziesięć wyjechać do ukochanej i pomagać w przygotowaniach weselnych. Ponieważ miał tylko jedną, i to niedużą walizkę, do której nie mógł

zmieścić garnitur ślubnego, oraz żeby lepiej wyglądać w podróży, założył go na siebie. Wziął tylko inną koszulę i buty, zaś ślubne włożył do walizki. Pociąg podstawiono na peron pół godziny przed planowanym odjazdem. Ludzi nie było dużo. Usiadł wygodnie w przedziale zajętym jedynie przez cztery osoby.

Wspaniale, że nie ma tłoku – pomyślał – będę się mógł trochę zdrzemnąć, bo na miejscu mam być dopiero po dwudziestej pierwszej. Pociąg ruszył zgodnie z rozkładem jazdy, a do przedziału nikt nie przyszedł. Przejechali kilka stacji i zrobiło się ciasniej, gdyż doszło kilkoro ludzi, zapelniając przedział. Z nimi weszła ubrana z wiejska kobieta, niosąc ze sobą dwa tobołki oraz koszyk, które to rzeczy upychała na dość już zapelnioną półkę. Jeden z tobołków układała nad Alfredem, przyciskając się do niego. W pewnym momencie z tobołka na ramię, część głowy oraz spodnie Alfreda wysypała się mąka. Na wpół drzemiący mężczyzna zerwał się, odpychając kobietę na kolana siedzącego naprzeciw Alfreda tęgiego jegomościa.

– Co pani zrobiła!? – krzyknął. – Mój garnitur ślubny!!

Kobieta wystraszona tym, co się stało, siedząc nadal na kolanach współpasażera, powiedziała nieśmiało:

– Wybaczm, panoczku, jo nie chciałach.

– Co wybaczm?! Co nie chciałam?! Jak ja wyglądam?! Jak to wyczyścić?! – wrzeszczał Alfred.

– Niech się panoczek udobruchajom – prosiła kobieta, wstając z kolan mężczyzny.

– Udobruchać się?! Jak ja mam cały garnitur ubielony, a do tego w sobotę ślub! – mówił jeszcze podniesionym głosem.

– Naprowde, nie gniewojcie sie panoczku. Co się stało, to się nie łodstanie. Teraz trzeba pomyśleć, co zrobić – mówiła wystraszona kobieta.

– To niech pani myśli! – powiedział już spokojniejszym tonem. – I tak już nic pani nie wymyśli.

– Wymyśle, wymyśle. – Po chwili rozchmurzyła się. – Już zech wymyśliła.

– Co takiego? – zdziwił się.

– Niech panoczek wyczepiom marynarkę przez łokno, a potem

pójdę do wychodka, zdejmę portki, dadzę mi je przez drzwi, co wycepę przez łokno i łodzę panoczkowi.

– No, dobrze. To będzie tylko wytrzępane, ale dalej pobielone.

– Ale panoczek do chałupy dojadę i wyczyszczę czorną kawę, to będzie czarna nazwa.

– Dobrze już – uspokoił się Alfred. Powoli wstał, część maki zebrał na ręce, ktoś otworzył w przejściu okno, przez które ją wysypał. Następnie powoli zdjął marynarkę, wystawił za okno i trzepał. Po chwili wyciągnął ją z za okna, ale biel, jak przewidywał, pozostała na czerni. Jeden ze współpasażerów, obserwujący ciekawie zdarzenie, wyjął z teczek szczotkę do ubrania.

– Niech pan tym poprawi – powiedział, wręczając ją młodzieńcowi.

Alfred podziękował i czyścił marynarkę wytrwale przy otwartym oknie.

– Dziękuję. Trochę lepiej wygląda – powiedział nieznajomemu, oddając szczotkę.

– Przyda się panu jeszcze do czyszczenia spodni – odrzekł współpasażer, wręczając ją z powrotem Alfredowi.

– Zdejmę panoczek te portki w wychodku, to będzie czepać – powiedziała kobieta.

Poszli przejściem do końca wagonu. Alfred wszedł do ubikacji, zdjął spodnie, wyjął z nich chusteczkę i grzebień oraz wysunął pasek, aby nie wypadły. Podał spodnie stojącej za drzwiami kobiecie i czekał. Mijały wolno minuty, a kobieta nie puka.

– Co ona tak długo trzepie? – mówił do siebie półgłosem. – Może chce wyczyścić szczotkę?

W międzyczasie pociąg stanął na jakiejś dobrze oświetlonej stacji. Za oknem słyszał większy ruch. Pociąg stał dłuższy czas, a kiedy ruszył, to po chwili ktoś chciał wejść do ubikacji, poruszył klamką, ale nie pukał. Alfred nadal czekał niecierpliwie.

– Siedzę tutaj chyba z pół godziny – myślał.

Wtem ktoś poruszył klamką i zapukał. Serce mocniej zabiło – nareszcie – szepnął i otworzył lekko drzwi. Za drzwiami stała jakaś młoda kobieta, która zobaczywszy mężczyznę w kalesonach,

krzyknęła i trzasnęła drzwiami. Alfred zamknął je ponownie rygłem.

– Gdzie ta baba siedzi? – denerwował się. Po chwili znowu ktoś poruszył klamką i niedługo potem zapukał. Nie wiedział, co robić. Pukanie się powtórzyło, więc ostrożnie otworzył drzwi i zobaczył mężczyznę stojącego za nimi. Pospieszenie je zamknął. Ktoś zapukał i usłyszał męski głos:

– Co pan tak długo tam robi, do cholery!

Alfred milczał.

– Wylaż wreszcie stamtąd!

– Nie mogę – odpowiedział rzewnie.

– Co znaczy nie mogę! Jak żeś tam wlaż, to możesz wyleźć!

– Nie mogę – powtórzył prawie płaczącym głosem.

– Jak zawołałam konduktora to będziesz mógł! – wrzeszczał za drzwiami mężczyzna. Jeszcze raz zapukał i zapanowała cisza. Alfred siedział na sedesie przerażony, myśląc, co się stało z kobietą, ze spodniami i co dalej będzie.

Po kilku minutach usłyszał energiczne pukanie i głos za drzwiami:

– Tu konduktor, proszę otworzyć!

– Nie mogę – odpowiedział Alfred.

– Co znaczy nie mogę?! – zdziwił się kolejarz.

– Niech pan tu do mnie wejdzie, to panu opowiem.

Konduktor wszedł ostrożnie, bacznie obserwując młodzieńca. Alfred opowiedział konduktorowi wydarzenie i prosił, aby poszedł do przedziału, gdzie uprzednio przebywał, i przyniósł mu te spodnie od kobiety, która jak sądził, albo jeszcze je czyści, albo zapomniała.

– Proszę tu czekać – powiedział kolejarz i wyszedł. Po kilku minutach wrócił, zapukał i wszedł, ale bez spodni.

– Gdzie są moje spodnie?! – zapytał przerażony młodzieniec.

– Zaraz opowiem. Otóż ta kobieta, wzięwszy pańskie spodnie, zaczęła je trzepać przez okno będące najbliższej ubicacji. W pewnym momencie, jak mi powiedzieli widzący to podróżni, pociąg zbliżył się do stacji i spodnie zahaczyły się o semafor, czy jakiś tam będący w pobliżu słup. Kobieta wystraszona stała bezrad-

nie, lecz po chwili najpierw podeszła do ubikacji, a później poszła do przedziału, gdzie pozostawiła swoje rzeczy. Pytającym o pana i spodnie powiedziała, że wszystko jest w porządku, a ona wysiadła. Pospiesznie ściągnęła bagaże, obsypując mąką jakąś kobietę, i szybko wysiadła na stacji, przed którą zniknęły spodnie.

Młodzieniec wpadł w rozpacz.

– Co ja teraz pocznę? Jak pójdę bez spodni? W czym będę brał ślub? – narzekał.

– Proszę się nie denerwować – uspokajał konduktor – trzeba coś wymyślić.

– Ale co? Mam pustkę w głowie – skarżył się Alfred.

– Ma pan w swojej walizce inne spodnie? – zapytał kolejarz.

– Mam jasnobrązowe, takie na co dzień, do roboty – odrzekł zapytany.

– To w czym problem? – pytał konduktor. – Przyniosę panu walizkę, ubierzesz pan spodnie i jakoś zajdziesz do domu, a tam się pan będzie o resztę martwił.

Usłyszawszy to, Alfred odetchnął z ulgą i za dobrą radę podziękował kolejarzowi.